



Pismo miesięczne z obrazkami

→ wychodzi w pierwszą niedzielę każdego miesiąca. ←

Redaktorka i wydawczyni:

MARJA WYSŁOUCHOWA.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie wraz z przesyłką pocztową — 64 halerzy.

W Wielkopolsce i innych ziemiach zaboru pruskiego — 70 fenigów.

Adres Redakcji i Administracji: Lwów — Chorażczyzna 5.

Z zapomogli Wydawnictwa Imlenia ś. p. Kasyldy Kulikowskiej.

## Pożegnanie z Czytelnikami.



Kiedyś zwracała się do Was, Drodzy Czytelnicy, przed trzema laty z pierwszym numerem „Zorzy“, miałam nadzieję, że znajomość nasza będzie trwała długo, a przyjaźń z biegiem czasu wzrastać i pogłębiać się będzie. Tymczasem dziś oto przychodzę do Was ze słowem pożegnania. A chociaż żegnam Was nie na zawsze, ale — tak sędzę przynajmniej — na jeden tylko rok, duszę mam tak pełną żałości, że zaledwie mówić mogę...

Mówić jednak trzeba, aby się usprawiedliwić przed Wami, abyście nie sądzili, że przerywam rozpoczętą robotę lekkomyślnie, bez ważnych powodów. O, wierzajcie, najmilsi, nie przestałabym nigdy wydawać gazetki, która znalazła wśród Was tylu życzliwych czytelników, gdyby nie okoliczności, od woli niezależne. Oto w lutym jeszcze bieżącego roku ciężka choroba serca pozbawiła mnie sił. I od tego czasu nie mogę się dźwignąć, nie mogę opanować niemocy. Trapi mnie najbardziej to, że pisanie przychodzi mi z jak największą trudnością. Po skreśleniu kilku wierszy muszę wypoczywać dzień, dwa i dłużej, aby ból i bicie serca pozwoliły znowu wzięść na chwilę pióro lub ołówek.

W takich warunkach niepodobna wydawać gazetki, a zwłaszcza wydawać jej dobrze, bo się drukuje nie to, co by się chciało i nie to, co by na razie było najpożyteczniejsze dla czytelników, ale to, co wymaga mniejszego trudu. To też dokładałam wszelkich starań, czyniłam wszelkie możliwe wysiłki, aby nie sprawić Wam zawodu i dociągnąć do końca roku. Dalszych jednak zobowiązań przyjmować nie mam prawa, bo nie mam możliwości ich spełnienia.

Pozostaje mi jeszcze miły obowiązek podziękowania Wam za pomoc i za przyjaźń dla „Zorzy“. Słowa wdzięczności zwracam do wszystkich, ślę na wszystkie strony: do dalekiej Ameryki i do obcych krajów, gdzie „Zorza“, wśród wychodźstwa polskiego, miała czytelników. Najgoręcej jednak dziękuję droгим czytelnikom w Galicji, dzielnym ludowcom, którzy od lat kilkunastu skupiają się około „Przyjaciela Ludu“ i walczą wytrwale, mężnie i z poświęceniem o lepszą dla ludu dolę. Niemniej szczerze żywię uczucia dla ukochanych Czytelników w Księstwie Cieszyńskim. „Zorza“ nie znalazła nigdzie serdeczniejszego przyjęcia, niż na ślicznej ziemi śląskiej, co szczyci się tylu dzielnymi synami od pługa i młota, bogate skarby w swoim łonie chowa i cudną ma szatę z górskich lasów szumiących, niw bujnych i łąk kwiecistych, srebrem wód nabijanych. Do niektórych miejscowości w Księstwie Cieszyńskim, jak np. Ustroń, Frysztat, Cieszyn szło po kilkadziesiąt egzemplarzy pod jednym adresem, na ręce jednego odbiorcy. Tak gorliwie rozpowszechniali bracia Ślązacy gazetkę, która mówiła o Polsce i starała się budzić miłość ojczyzny w sercach czytelników. Jakież to pocieszające i jaka to jasna obietnica przyszłości! Nie ustawajcież i nadal, drodzy Przyjaciele, w pracy przezacnej.

Powiem jeszcze, że zachowam wszystkie Wasze adresy i przyszlę wszystkim w grudniu 1903 roku numer wskrzeszonej „Zorzy“, jeżeli tylko gazetka ta wychodzić zacznie. A wiem przecież, że nie zamkniecie przed nią drzwi, ani serc Waszych. Nie dodaję, że zachowam nietylko martwe kartki z adresami, ale i żywą o Was pamięć, bo i bez zapewnień z mojej strony wierzyć w to niezawodnie.

Bywajcie zdrowi, drodzy Bracia i Siostry kochane. Oby los darzył Was wszelakim dobrem, wszelaką pomyślnością i szczęściem. A gdy przyjdą smutne i trudne chwile, niech dopomagają Wam do przetrwania ich mężnem sercem wiara, nadzieja, miłość...

Oddana Wam duszą całą

*Marja Wystouchowa*





## W Betleemskiej stajence.

W betleemskiej stajence Bóg się rodzi i tryska stamtąd światło na całą ziemię: na lasy, pola i niwy, na pałace i chaty. Wnika do serc milionów i napętnia je radością, szczęściem, otuchą. Bóg się rodzi, aby męczeństwem odkupić świat, obmyć go z grzechów, oczyścić z nieprawości. A więc wielkie święto nadchodzi, wielka radość na ziemi. Wielcy i małuczcy pieją pieśń dziękczynną i wyciągają ręce ku gwiazdce betleemskiej, co zapowiada spokój ludziom dobrej woli. A w tej rzeszy narodowi my stajemy, z pod sinych Tatr i z nad zielonych fal

Bałtyku, z nad Wisły, z Niemna i Dniepru, a łączą się z nami, ci, których los rozproszył po świecie, — i ci, co ciągną taczki kołniane, oświetleni zorzą północną Sybiru. I wszędzie, gdzie tylko duch polski żyje, gdzie pracują ręce polskie, brzmią wesołe tony pieśni starodawnej: »W żłobie leży«

Radujemy się i my, bracia włościanie z pod słomiany strzechy, i choć chwilowo, po ciężkiej pracy, jaką jest zawód rolnika, pogwarzy nie jeden przy stole wigilijnym, zapominając o ciężkiej walce z losem.

Wojciech Zawada z Dąbrowicy.



## Wigilja za morzem.

Było to 1777 r., w przededniu wigilji Bożego Narodzenia, tego narodowego święta, o którym żaden Polak i na obczyźnie nie zapomina.

Pułaski ze swoim oddziałem stał wówczas w miasteczku Trenton, w jednej z najpiękniejszych okolic tej części kraju. Miasto, niewielkie było podówczas, ale w półkole otoczone pagórkami, okrytymi wspaniałym lasem, oblانة dwóch rzek wspaniałemi wody, — przedstawiało obraz wielkiego wdzięku.

Nadchodzące dni świąteczne poddały Karolowi myśl sprawienia polskiej wilji Puławskiemu. Nosił on się z nią dość długo, dumał, rozpytywał, wreszcie uznawszy możliwość, postanowił tę niespodziankę doprowadzić do skutku.

Szło tylko o opłatek...

Wszystko się dawało albo czemś zastąpić lub ominąć — niedostatek opłatka był niewynagrodzony.

On właśnie jest znamię wilji, on jeden starczyłby za wszystko... on mógł być wilją całą, bez niego wieczerza na sianie, tą uroczystą ucztą naszą nazwać się nie mogła.

Już Karol romysłał o upieczeniu opłatka, gdy chodząc na zwiady, dowiedział się, że w niedalekiej osadzie mieszkał ksiądz francuz, który tam w kapliczce, urządzonej w pokoju mszę dla szczupłej liczby katolików odprawiał.

Karol ledwie tam o niego dopytał, lecz oznajmiwszy mu się jako Polak i katolik, został dobrze przyjęty. — Ale gdy po krótkim wstępie powiedział mu, o co go prosić przybył, francuz nie zrozumiał wcale, obruszył się strasznie, sądząc, że niepoświęconej hostji do jakiegoś zabobonnego żąda obrządku. Ledwie Karol mu zdołał wytłumaczyć, że to jest u nas przez duchownych uznanym zabytkiem prastarych czasów. Zrozumiał nie rychło, lecz ulitował się w ostatku i tknięty wymową, skłonił się dać mu parę opłatków.

Nareszcie przyszedł wieczór; na wypo-godzonem niebie pokazały się gwiazdy... coraz ciemniejszy szafir okrywać się począł tysiącem iskier, jakby na ucztę zapalonych... Karol wbiegł do ogródka, po którym się przechadzali: Pułaski Kościuszko i Rogowski i uśmiechając się do Pułaskiego zawołał:

— Panie generale, wieczerza na stole!

— A! wieczerza! tak!... — podchwycił gospodarz — żartuj zdrów! co mi to za wieczerza w Ameryce! Nie polska to nasza owa wilja braterska, ucztą święta, ale... co Bóg dał, chodźmy...

Ujawszy pod rękę Kościuszkę, zmierział na górę, wtem drzwi do salki, położonej na dole, murzyn, kryjąc się za niemi, otworzył.

Salka przedstawiała widok niezwyčajny. Naga izba ubrała się świątecznie, ściany jej zawieszono były zielonemi gałęzmi jodły

i cisów, stół świecił rześisto... okryty białym obrusem, pod którym siana domyśleć się było można. W kącie stał ogromny snop zboża, jeśli nie gatunkiem jego, to formą przypominający nasze godło pracy rolniczej.

Stary murzyn w czerwonej koszuli stał u drzwi, pokazując resztę białych zębów... Na talerzach świeciła migdałowa polewka z ryżem i rodzenkami, o którą pono było najłatwiej.

Pułaski, jak olśniony, stanął w progu i zobaczył naprzód na talerzu opłatki; odwrócił się do Karola i ze łzami prawie porwał go za szyję, całując.

— Poczciwy, kochany przyjacielu!.. — zawołał rozrzuwiony — chyba twe złote serce dokazać tego mogło.

Drżącą ręką chwycił opłatek i podał go pierwszemu Kościuszce...

— Gdy w Polskę rozłamiesz go kiedyś z braćmi, przypomnij mnie i Trenton — rzekł cicho.

Czy łza nie stoczyła się nań i nie poświęciła — nie wiem.

Milczący, poważni, jak kapłani, uroczyście, jak w świątyni, z myślą do Boga wznieścioną, do ludzkości... łamali się tułaczce chlebem życia... a myśl ich i serca biegły tam, gdzie do nich także były piersi stęsknione rodziny, braci... przyjaciół.

Tadeusz otarł łzę, przypomnieli mu się strony rodzinne; — Mereczewszczyzna, Siechnowicze...

— Dawno — rzekł — dawno nie kosztowałem takiej — rozkoszy, to godło Chrystusa spoilo nas, jak rodzinę. Ze wszystkich polskich obrzędów i uczt to najpiękniejsza, to najuroczystsza, to najwięcej mówiąca do duszy.

— Bo też to dzień narodzenia Tego — rzekł Puławski — który skruszył kajdany świata.

Łamali się opłatkiem, patrząc ze wzru-

szeniem na tę dawno niewidzianą kraju pa-miątkę...

Z rozweselonem czołem zasiedli do stołu. Niestety! murzyn barszczu zrobić nie umiał... zastępowała go polewka.

Inne potrawy, jeśli nie miały smaku naszych, przypominały je przynajmniej z pozorów, murzyn czego nie mógł dobrze wyrozumieć, w to kładł jak najwięcej pieprzu, który, w jego przekonaniu, zdolnym był zastąpić wszystko i omamić podniebienie. Ryby wszakże z szafranem, po żydowsku i smarzone z kapustą palmową wybornie się udały.

Dobyto parę butelek. Po kilku kieliszkach rozmowa się ożywiła i z toru smętnego przeszła w ową wesołość polską, co nikogo nie kęsa, a każdego zaba-wić umie.

Chwilami jeszcze zadumał się z nich który, ale spieszył postać dumę za morza... Sypnęły się anegdoty, przywiezione z Polski, w które ona obfitowała po wsze czasy, co to je z taką serdecznością, zawieszisto, z miną, akcentem, deklamacją właściwą, tradycyjną opowiadać umiano.

Biesiadnicy pozostali długo w noc przy tym stole, pito niewiele, ale mówiono dużo.

Późno już ktoś przypomniał obyczaj wilji naszej wyciągania z pod obrusa siana, miało to podobno znaczenie, iż kto najdłuższą trawę

wyciągnął, u tego najpiękniejszy len miał obrodzić.

— Ciągnijmy więc — dodał, śmiejąc się, Pułaski — i będziemy sobie z tych roślin nowego świata prorokowali o żn wie.

W tem sianie z nad rzeki Delawary były, prawdę rzekłszy, przeróżne rośliny, nie wszystkie do trawiastej rodziny należące. Każdy rękę włożył pod obrus, a co pochwycił, wyciągnął i podniósł do góry.

Puławskiemu dostał się kwiat jakiś nieznan, zeszczy już, na którego łodydze para tylko listków zieleniejszych została.



Królowa niebios.

Rogowski dobył kiść jakąś bardzo długą, w którą się mniejszych dużo wplątało; na końcu jej grono nasionek bardzo przypominało naszą hreczkę.

Karol wyciągnął łodygę zieloną, niemal świeżą, z kwiatami jeszcze niezupełnie zwiędłymi, nakształt dzwonek.

A pan Tadeusz zdziwił się, znajdując — uciętą młodą gałązkę o liściach laurowych.

Smieli się wszyscy, niewielkie do tego przywiązując znaczenie, a pan Pułaski rzekł:

— Wam laury, panie Tadeuszu! daj Bóg, byś je zbierał! Mnie się dostało coś zeszlęgo, czarnego jak ja... i bez życia... taką może pamięć zostawię po sobie\*). Karolowi jego kwiaty obiecują, że będzie rozkwitał i dzwonił, a dalej pan Rogowski... ty masz czyste i jasne proroctwo, że jeszcze hreczkę siał będziesz na swoim zagonie.

— Ale ba! — zawołał Rogowski — co o tem, to mi się nie śni!

— Mnie też o wyprorokowanym mi końcu zeszlęga gałęzią myśleć się nie chce... Pili zdrowia.

\*) Smutna wróżba spełniła się o tyle, że w kilka miesięcy później Pułaski zginął śmiercią bohaterską w bitwie z Anglikami pod twierdzą Savannah. Ale co do pamięci jego, — ta żyje, głośna i sławna, po obu stronach oceanu; a w bieżącym właśnie roku Kongres Stanów Zjednoczonych wyznaczył odpowiednią kwotę na postawienie pomnika bohaterowi, który poległ za sprawę wolności Ameryki.

A w ostatku owo polskie, owo stare... owo nasze... Kochajmy się!

Bez tego symbolicznego kielicha miłości i zgody nie było nigdy w Polsce uczytnej żadnej.

Niech mi kto pokaże na świecie naród, któryby myśl tak świętą, tak wielką zamknął w dwu słowach, bez których nie było biesiady, nie było przyjęcia...

Czyśmy się kochali? Bóg osądzi, ale żeśmy kochać pragnęli, uważali za obowiązek, żeśmy na sztandarze tradycji zapisali to godło, które w sobie mieści całą naukę nową... to przecie coś znaczy... Nie czcze, nie czcze to było słowo!

Wstali wszyscy.

Jeszcze raz ścisnęły się dłonie, ucałowały usta, zaczęli każdy poszedł do pościeli nie zasnąć, ale myślą polecieć ku domowi...

Opis niniejszej wigilii jest streszczeniem, rozdziału z przepięknej trzytomowej powieści J. I. Kraszewskiego pod tytułem: »Tułacze«, Powieść owa opowiada o smutnych i sławnych losach Polaków, którzy po upadku powstań we własnym kraju szli na obczyznę walczyć o wolność innych narodów, a Polskę mieli w sercu i wieczną ku niej tęsknotę. W ustępie, który »Zorza« podaje, spotykamy Kazimierza Puławskiego, sławnego wodza konfederatów i dwóch jego towarzyszy: Macieja Rogowskiego i Karola Plutę, a także Tadeusza Kościuszkę, który przyjechał ich odwiedzić w amerykańskim mieście Trenton. Zarówno Kościuszko, jak konfederaci walczyli za wolność Amerykanów, którzy wówczas właśnie wybijali się z pod panowania Anglii.

(Przypisek Redakcyi.)



## BOHATERKA.

Czytelnicy »Zorzy« znają dobrze Emilję Platerównę, której życiorys mieści się w listopadowym i grudniowym numerach naszej gazetki z r. 1900. Owoż sądzę, że przyjemnie Wam będzie, drodzy przyjaciele, poznać i szlachetne rysy bohaterki. W końcu listopada i pierwszych dniach grudnia nasze miasta i miasteczka święcą, jak wiecie, rocznicę Listopadowego powstania. Oddając więc hołd pamięci tych, co składali mienie i życie na ołtarzu powstającej Ojczyzny, pamiętajmy i o Emilji. Zastępuje na

to. Od lat najwcześniejszych marzeniem jej było poświęcić się dla Ojczyzny. A gdy trąbka bojowa zagrała, Emilja jedna z pierwszych na Litwie dała hasło powstania i walczyła, jako rycerz, na polu bitew. I nie trudy wojenne, nie choroba stargały jej siły, ale wieść o tem, że wróg zwyciężył, że Polska nie skruszyła kajdan niewoli. Nie mogła przeżyć klęski Ojczyzny, a ostatnie jej chwile opisuje Adam Mickiewicz w wierszu pod tytułem: »Śmierć pułkownika«:

Oto ów wiersz w brzmieniu dosłownem:



EMILJA PLATERÓWNA

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,  
 Rota strzelców stanęła zielona;  
 A u wrót stoi straż Pułkownika,  
 Tam, w izdebce, Pułkownik ich kona.  
 Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze.  
 Wódz to był wielkiej mocy i sławy;  
 Kiedy po nim lud prosty tak płacze  
 I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,  
 Konia w każdej sławnego potrzebie;  
 Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,  
 Kazał przywieść do izby — do siebie.  
 Kazał przynieść swój mundur strzelecki,  
 Swój kordelas i pas i ładunki:  
 Stary żołnierz — on chce jak Czarnecki,  
 Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,  
 Potem do niej wszedł ksiądz z P. Bogłem;  
 I żołnierze od żalu pobledli,  
 A lud modlił się, klęcząc przed progiem.  
 Nawet starzy Kościuszki żołnierze  
 Tyle krwi swej i cudzej wylali,  
 Łzy ni jednej — a teraz płakali,  
 I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;  
 Już przed chatą nie było żołnierza,  
 Bo już moskal był w tej okolicy.  
 Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.  
 Na pastuszym tapczanie on leży —  
 W rękę krzyż, w głowach siodło i burka,  
 A u boku kordelas — dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,  
 Jakie piękne dziewicze ma lica?  
 Jaką pierś? — ach, to była dziewica!  
 To Litwinka, dziewica-bohater,  
 Wódz powstańców — Emilja Plater!

Tyle słów wiersza; mówi on z zapałem  
 o młodej bohaterce, nie wszystkie jednak  
 szczegóły, w nim zawarte, zgadzają się  
 z rzeczywistością. Emilja, jak wiemy, była  
 mianowana za waleczność kapitanem, nie  
 pułkownikiem, — w chatce zaś leśnika znalazła  
 chwilowy jeno wypoczynek. Ale poeta nie  
 jest historykiem i ma prawo odbiegać od  
 prawdy, ma prawo mówić, jak mu każe  
 wyobraźnia, byle poezję swoją uczynić pię-  
 kniejszą i bardziej porywającą. *M. W.*



## PARASKA.

WSPOMNIENIE Z LAT DZIECINNYCH.

Małą dziewczynką byłam, gdy umarła najstarsza kobieta w naszej wiosce, Paraska, zwana zazwyczaj przez starszych i dzieci Babusią. Śmierć ta wywołała wielki żal u nas we dworze, i cała wioska opłakiwała zmarłą, kochaną i znaną w każdej lepiance. Paraska była nie tylko najstarszą, ale i najmędrszą kobietą w Dernowiczach; ona gościła ludzi ze sobą, swatała młode dziewczyny, opiekowała się chorymi, bo zioła wszelkie znała i tak biegłą była w leczeniu, iż ludzie z dalekich stron przyjeżdżali po radę do naszej Babusi. W domu też naszym kochaną była przez wszystkich; i nie dziw! znała dziadków moich. ojca na

rękę piastowała, to też, gdy w swej białej namitce na głowie, w krasnym andaraku, jak nazywają na Polesiu\*) spodnice wełniane, w domu tkane — i niebieskim gorsecie, wchodziła do naszego domu, prosta i smukła, mimo wieku, jak dosna poleska, starsi witali ją z szacunkiem, my zaś, dzieci, z radością, bo Paraska umiała zawsze mnóstwo ciekawych rzeczy opowiedzieć.

\*) Polesiem nazywa się ziemia, leżąca nad rzeką Prypecią. Jest to olbrzymia dolina trójkątna, która się zaczyna koło miasta Breścia litewskiego i dochodzi, wciąż się rozszerzając, aż do rzeki Dniepru.

(Przypisek Redakcji.)



Mieszkała niedaleko od dworu. Z ogrodu naszego było kilkanaście zaledwie kroków zieloną miedzą do jej chaty, która leżała między dworem, a wsią Dernowiczami. Chata Paraski była duża, o jednej wprawdzie izbie i komorze, ale jasna, biała, schludna, woniejąca ziołami, których staruszka suszyła całe snopy. Przy oknie był mały ogródek, w nim parę drzew owocowych, warzywa i kwiaty przeróżne: słoneczniki wspaniałe, smukłe malwy, pnące się powoje, nasturcje i maki róż.obarwne, a także macierzanka, mięta i melisa, boże drzewko i inne zioła i krzewy lecznicze.

i żaden pałac nie byłby mi chyba tak miłym, jak ta jej jasna, czysto wybielona, poszyta oczeretem chata. Stół tam był zawsze białym obrusem okryty, ławy naokoło ścian, pościel czystą przykrywał kilimek własnej roboty Paraski, a na ścianie ponad ławą, pod wyszywanymi ręcznikami, błyszczały obrazy święte: N. P. Marji Począjowskiej, św. Jerzego na białym koniu i św. Łazarza, gdy go aniołowie unoszą do nęba. Znałam i lubiłam te obrazy, stroiłam je nieraz kwieciami, a Paraska o każdym mnóstwo cudnych rzeczy opowiedzieć umiała. Lubiłam bardzo jej opowiadania, bo wiele ciekawych rzeczy wie-



CHATKA

Paraska mieszkała sama, mąż ją odumarł był dawno, a syn jedynek ożenił się nie po myśli matki, z moskiewką — i zamieszkał w środku wsi, w osobnej chacie. Nie wiem dotąd z jakiego powodu nie cierpiałam synowej Paraski, Olgi, może dlatego, iż Paraska jej nie lubiła, a może, iż nie rozumiałam jej mowy, gdyż mówiła po rosyjsku, a Paraska, albo po polsku, albo, jak wszyscy wieśniacy na Polesiu, koło Mińska, po białorusku.

Ogromna to zawsze była uciecha, gdy mi pozwolono pójść do Paraski w gościnę

działa i coraz to coś nowego w skarbcu wspomnień wynaleźć potrafiła.

Pewnego wieczora, korzystając z pozwolenia rodziców, pogałam do Paraski. Wieczór był cichy, jasny, jak tam u nas bywa na Polesiu w maju. Zdała, cała złota w promieniach zachodzącego słońca, jaśniała rzeka nasza, Prypeć, jeszcze szeroko wezbrana. W powietrzu pachniały bzy i piwonje, których mnóstwo było w naszym ogrodzie, wilgotny powiew płynął od łąk nadrzecznych, a stuletnie lipy naszego ogrodu,

kryły mój dach rodzinny ciemną zielenią swych konarów.

Dojrzałam już zdaleka Paraskę w ogródku. Siedziała na ławce, pod drzewem, odmawiając wieczorne pacierze i nie słyszała wcale moich kroków. Stałam poza nią i czekałam, aż skończy różaniec, którego ziarnka zwolna przesuwała w palcach.

Wtem od rzeki zadzwoniły słowiki i śpiew ich zlał się z głosem staruszki, która teraz głośno i wyraźnie mówiła: »A duszom sług Twych Panie, Mikołaja i Joachima, daj wieczne odpocznienie, światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki wieków. Nam zaś tu, Panie, pozwól dożyć dni jasnych i wielkich, dla których chwały oni żyli i pracowali. Amen«. Modlitwę tę powtórzyła trzy razy, potem przeżegnała się i odwróciwszy głowę, spostrzegła mnie, stojącą cichutko.

— Pacierz mówię, dziecko moje — rzekła — bo taki wieczór cichy i święty, iż dusza pragnie z Bogiem pomówić i dziękować i prosić. Ot i ptaszki śpiewają Jemu na chwałę i kwiaty wonieją.

— A za kogo to Babusia modliła się? — spytałam. — Kto to byli owi Mikołaj i Joachim?

— Mikołaj, dziecko, to był twój pradziad, a Joachim, to mój ojciec. Żyli oni obaj razem i razem pracowali.

— Babusiu, niech mi Babusia o nich opowie, co oni takiego razem robili? — pytałam.

— Co robili? — odpowiedziała staruszka — a toż oni obaj jednego chcieli: chcieli wolnej ziemi, chcieli, by wrogów tu nie było, no, i pracowali, aby tak się stało.

— Moja złota Babusieńko! — zawołałam, ściskając staruszkę — niech że mi Babusia o nich opowie, jak to było i kiedy?

Paraska zamyśliła się na chwilę, przesuwała ręką po czole i tak mówić poczęła:

— Dawno już temu, dawno bardzo, gdy matka umarła, a ja miałam lat piętnaście, ojciec mój zawiózł mię z lasu, w którym mieszkaliśmy, do dworu, do Nowosiółek, gdzie mię pani wzięła do posługi swej córki a twojej babki, która była o rok odemnie młodsza. I pani i panienka były bardzo dobre dla mnie, a choć mi na razie tęskno było za puszczą, wśród której wzrosłam, przywiązałam się wkrótce do dworu, a zwłaszcza do panienki, z którą spędzałam cały dzień prawie. Wyuczyłam się też prędko i posługi i robót pięknych i nieraz spędzałyśmy z panienką wiele godzin nad krosnami i haftem.

— Pani była wdową, oprócz córki miała jeszcze syna wyrostka w szkołach, w Wilnie, a że Nowosiółki zajmowały obszar wielki i interesów było dużo, więc gospodarstwo prowadził brat nieboszczyka jej męża, p. Mikołaj Bogusz, niemłody już kawaler. Pan Mikołaj był bardzo rozumny, a że był także bardzo dobry i sprawiedliwy, więc ludzie kochali go serdecznie.

— W pierwszym zaraz roku mego pobytu w Nowosiółkach zaczęto mówić o wielkiej wojnie, którą miał wkrótce rozpocząć z Rosją cesarz Francuzów, Napoleon, wielki wojak, co już mnóstwo krajów zawojował. Panowie, gdy się zbierali, to wciąż o tem mówili i ciągle tej wojny czekano.

— Mój ojciec był strzelcem pana Mikołaja, potem jakiś czas mieszkał w lasach, a teraz p. Mikołaj miał go zawsze przy sobie i tylko razem do lasów jeździli. A lasy były w Nowosiółkach ogromne, zginąć w nich można było, ale ojciec mój znał je doskonale, wiedział gdzie rości jakie drzewko, gdzie jakie moczary i bagna. Zwierza też wszelkiego była moc w lasach i nieraz polowania trwały tygodniami, a zawsze ojciec był z panem.

W zimie jakoś onego, 1812 roku, ojciec jeździł z listami do Wilna, a potem zjechała się moc panów do Nowosiółek, i coś ze sobą radzili; ojca też wołano na ową radę. Ojciec mój kochał ogromnie pana Mikołaja i w ogień by za nim poszedł, a pan zawsze mówił, że bez Joachima rady sobie dać nie może.

— Którejś nocy, a było to w maju, jak dziś, ktoś zlekka zapukał od strony sadu do okna pani. Drzwi od pokoju, w którym ja sypiałam z panienką, były uchylone, widziałam więc, jak pani otworzyła okno i coś mówiła po cichu, a potem za małą chwilę weszli do pokoju pan Mikołaj i mój ojciec, którzy sypiali nie w pałacu, jeno w oficynie. Obaj byli w guńkach, jak do drogi, i obaj mieli pistolety za pasem.

— Przyszlśmy pożegnać jejmość panią bratową — rzekł pan Mikołaj — no i pomodlić się razem, bo dziś pierwsza wyprawa.

Pani zapaliła świece przed obrazem Matki Boskiej Ostrobramskiej i wszyscy trzej uklękli.

Mnie zdjął strach wielki i żal okrutny, ale nie śmiałam się ruszyć. Pan jął głośno się modlić i mówił, że oddaje mienie swe i życie Bogu i ojczyźnie na ofiarę, i ślubuje, iż skoro tylko Moskwę zwyciężą, on, Mikołaj Bogusz, wszystkich poddanych uwolni

od pańszczyzny, a dziś jeszcze uwalnia tu obecnego Joachima i daje mu wolę robienia, co mu się tylko podoba.

Potem ojciec mój przysięgał, że i on życie swe oddaje Bogu i ojczyźnie i że pana Mikołaja nigdy nie opuści. Zaczem obaj ucałowali krzyż, a gdy pani ich pobłogosławiła, wyszli z pokoju.

Nazajutrz pani zawołała nas do swego pokoju, kazała przysiądz, iż tego, co nam powie, nie powtórzymy nikomu, i tak ją mówiła: Cesarz francuski, Napoleon, już był w Wilnie, szedł na Moskała, by go zwojować i dać wolność nam wszystkim, cośmy pod jarzmem moskiewskim jęczeli. To też wszyscy, młodzi i starzy, powinni byli co sił pomagać Francuzom. Pan Mikołaj i mój ojciec, jedni z pierwszych, poszli przysposabiać zapasy żywności dla wojska i przeprowadzać je bezpiecznymi drogami. Ale o tem trzeba było milczeć, bo gdyby Moskale się dowiedzieli, obu spotkałaby śmierć niechybna.

W krótkim jednak czasie wszyscy dowiedzieli się o Francuzach i radość była wielka. Opowiadano, że Napoleon szedł prosto na Moskwę, a Moskale uciekali przed nim. Pan Mikołaj zaglądał niekiedy do domu, a wówczas naradzał się z sąsiadami. Czasem przyjeżdżał z moim ojcem, a czasem sam, gdy ojciec gdzieindziej był zajęty.

I dużo tak czasu zeszło, aż nagle rozszła się wieść, iż Moskwa, stolica Rosji, spalona, a Francuzi uciekają w popłochu i padają zmarznięci po drodze, bo zima była onego roku okrutna.

Strach ogarnął ludzi, bo mówiono, że i wojsko Francuzów po drodze wszystko pali, a także kozaki, co ich ścigają, rabują i ludzi mordują. Ludzie mimo zimy i mrozów do puszczy chronić się chcieli.

O panu Mikołaju dawno słycho nie było żadnego. Mówiono coś wprawdzie, że obaj z moim ojcem są gdzieś daleko, nad rzeką Berezyną, że przepawali przez tę rzekę Francuzów, których tam mnóstwo poginęło, ale nikt nic na pewno nie wiedział. We dwa miesiące dopiero, jakoś na wiosnę, wpadli kozacy do dworu. Szukali niby to pana Mikołaja, wszystkie kąty przetrzęśli, co można było zabrać, to zabrali, a co zniszczyć — to poniszczyli, a potem wsiedli na koń i pojechali do wioski, gdzie się rozłożyli po chatach.

Oj, jak straszno było wtedy i ciężko! Ile dni i nocy okropnych przeżyliśmy, to tego i spamiętać niepodobna. Aż pewnego

razu siedzimy wieczorem wszystkie w pani pokoju, wtem: brzęk! — i jakaś gałązka wpadła z ogrodu do pokoju. Pani się porwała ku drzwiom i zaraz wróciła, prowadząc jakiegoś dziada, zgarbionego, o kiju, z torbami na plecach. Dziad ów obejrzał się, wyprostował i jak długi padł pani do nóg, a ta go z płaczem za głowę objęła.

Był to mój ojciec...

— Żyjecie więc, żyjecie obaj? — szepotała pani przez łzy.

— Żyjemy. Choć ciężko nam i trudno, ale żyjemy.

— A gdzie pan, Joachimie? — zawołała pani.

Ale ojciec palec na ustach położył.

— Gdzie pan? — powtórzył ojciec. — Oh, tego nikt, prócz nas dwojga wiedzieć nie powinien.

Pani więc wnet kazała nam odejść, a sama długo z ojcem rozmawiała. Po jego zaś odejściu powiedziała nam, iż tak pana Mikołaja, jak i mego ojca, szukają kozacy. że wielka nagroda naznaczona dla tego, kto wyda ich, i że znalazł się nikczemny człowiek, sąsiad, który razem z moskałami ich szuka i dlatego muszą się ukrywać w puszczy.

Na szczęście nikt chyba puszczy tak nie znał, jak mój ojciec i on też tylko mógł ocalić życie pana. Bieda była z żywnością, bo strzelać nie mogli, by wrogów na siebie nie sprowadzić, więc ojciec robił siecie, chwycił ptaki, a także ryby i raki, bo rzeka przecinała las.

Pani pomagała też, jak mogła. Ze dworu niedaleko było do lasu, więc przebieierała się za wiejską kobietę, brała kosz z żywnością na plecy i wymykała się z domu ostrożnie, wieczorem, aby prócz nas dwóch, nikt o tem nie wiedział.

Latem rzadziej wychodziła, bo i tam w lesie łatwiej było o żywność, ale w zimie dość miała męki, bo owi nieszczęśliwcy, wciąż tropieni, nie mogli w jednym miejscu przebywać, jeno ojciec mój umawiał się z panią zawsze, gdzie i kiedy mają się spotkać, parę też razy był we dworze, przebrany za dziada.

Po dwóch latach prześladowania i utrapień jakoś się uspokoiło w kraju. Cesarz moskiewski pozwolił wrócić wszystkim, którzy wyszli byli na obczyznę, a więc wrócili i nasi.

Pana Mikołaja trudno było poznać, tak się zestarzał, zżółkł, osiwił i taki był smutny.

I w domu było smutno. Gospodarstwo podupało, co było lepszego w Nowosiół-

kach, to zagrabili kozacy, dwa inne folwarki spalili, uciekając, Francuzi, ale pana nic to, zdaje się, nie obchodziło, siedział w swoim pokoju, nikogo nie widując i albo rozmyślał, albo czytał.

Wtedy mój ojciec uprosił, aby mu pozwolono zająć się gospodarstwem. Jakoż gospodarował, pracując, ile sił starczyło, do śmierci pana Mikołaja, który umarł na jego rękę, i konając, jeszcze mówił, że ocalenie swe od moskali zawdzięcza jeno Joachimowi i nazywał go bratem i przyjacielem.

Po śmierci pana Mikołaja wrócił syn pani ze szkół i gospodarkę objął, a ojciec mój pomagał mu z całego serca. Potem prędko jakoś pani umarła, a panienkę krewni zabrali do Mińska, i gdy dorosła, tu do Dernowicz za męża wydali. Panienska zostać się ze mną nie chciała i uprosiła ojca aby się ze mną sprowadził. Tu dała nam grunt z tą chatą, w której mieszkał do śmierci mój ojciec.

— Ot, tak to dawniej bywało — kończyła Paraska swoje opowiadanie — a ja za tych dwóch ludzi modłę się codziennie i jak oni, proszę Boga, by się spełniło to, czego oni tak pragnęli: by wrogów tu nie było, by każdy żył wolny i szczęśliwy na swej ziemi. Ale już późno, odprowadzę cię do domu.

— Babusiu — poprosiłam, gdyśmy już były w ogrodzie dworskim — pójdziemy kiedy razem na ich mogiły.

Paraska pokiwała głową.

— Dusze ich to są z pewnością razem, — rzekła — ale prochy w różnych miejscach, bo pan Mikołaj pochowany w Nowosiólkach, a tam teraz obcy gospodarzą.

— Więc pójdziemy na grób twego ojca — nalegałam — i tam się za obu i za kraj pomodlimy.

— Dobrze, dziecko, pójdziemy,...

Marja Reutt.



## Pytania i odpowiedzi.

**Pytanie:** Umiem rysować, lubię też malować i chciałbym bardzo odmalować Nadzieję. Ale nie wiem, jak ona wygląda. Otóż czy „Zorza“ nie chciałaby mi dać jakiej wskazówki.

**Odpowiedź:** Jak wygląda Nadzieja? — Ależ rozmaicie, bo to zależy od oczu, które na nią patrzą. Najczęściej jednak przedstawia się ludziom, jako dziewczę, bardzo piękne i bardzo młode. Sukienkę nosi zieloną, zupełnie takiej barwy, jak listki brzozy w maju. Słoneczną tę sukienkę zdobią suto, zamiast koronek i frędzli, paprocie i meli, wśród których błyszczą, niby gwiazdki, robaczki świętojańskie, — joniecki, jak mówią na Śląsku. Włosy Nadzieja ma złote i takie świecące, jak gdyby promień słoneczny nigdy nie opuścił jej główki. Błękitne jej oczy jaśnieją, jak niebo wiosenne, a gdy się uśmiechnie, to ludziom się zdaje, że sto słowików naraz zaczyna śpiewać i sto kwiatów najładniejszych otwiera wonne kielichy.

A wiecie czemu Nadzieja ma tyle światełek na szacie, a tyle blasków na czole,

w oczach i uśmiechu? — Oto temu, że przebywa często w miejscach smutnych, ciemnych, łzami zamroczonych. Zagląda do ubogich izdebek, do nędzarzy, którym zimno i głodno i pociesza ich nadzieją większego zarobku, szczęśliwszego jutra. Potem spieszy do nieszczęśliwych, którzy stracili wszystko, co im było drogie i miłe, których spotkał zawód nawet ze strony osób najbliższych. Tych krzepi, mówiąc im, że są na świecie serca prawe, wierne i kochające i że oni spotkają jeszcze serca takie na drodze swego życia. Dalej zlatuje, cicha i jasna, do pokoju chorych. Usiada na ich łożu i pociesza obietnicą, że wrócą im siły do pracy, do czynu.

A gdzie tylko zjawi się promienna postać Nadziei, stanął żuika zwątpienie, żal, rozpacz. To też ludzie błogosławią Nadzieję i wyglądają jej przybycia z upragnieniem wielkiem, chociaż, niestety, obietnice jej spełniają się rzadko, bardzo rzadko....

